

WIT KAROL WOJTOWICZ

ur. 1953; Łańcut



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	niezależny ruch wydawniczy, opozycja w PRL, życie polityczne, organizacja druku, „Zapis”, „Komunikaty KOR”

Miejsca przeznaczone na drukowanie nielegalnych pism

Organizowanie miejsc na drukowanie to była zbyt poważna sprawa, żeby zdać się na przypadek. Trzeba było to dobrze zorganizować i sprawdzić. Zbyt cenny był sprzęt, zbyt cenni byli też ludzie, którzy przy tym sprzęcie byli zaangażowani, aby ich narażać.

Na pewno decydowało dogodne położenie, które umożliwiało szybką i łatwą ucieczkę. Nie mógł być to zaułek bez wyjścia, tak zwanej drogi ewakuacji. Ważne było bezpieczne sąsiedztwo. Także osoba, za wiedzą której to się działo, albo od której mieszkanie się wynajmowało, musiała być pewna.

Były też takie wynajęcia, kiedy ostatecznie nie zdecydowałem się na wejście tam, bo coś mi się nie podobało. Nie wiem, czy miałem rację, czy nie. Wydaje mi się, że wszyscy byliśmy uważni, rozglądaliśmy się częściej wkoło siebie i nabywaliśmy chyba z czasem takiej fobii ostrożności.

„Zapis” nr 1 i parę numerów „Komunikatów KOR” było drukowanych na Czechowie, w mieszkaniu, które wynajmowaliśmy chyba od państwa Borysów. Mieszkanie wpadło, ale powielacz udało nam się uratować. To też śmieszna historia, bo ewakuowaliśmy go nocą, ubrani w białe kurtki czy prochowce, zupełnie bez sensu, ale się udało. Tam wpadło nam parę rzeczy. Wpadły materace, na których spaliśmy, nadmuchiwane, turystyczne, parę jakichś mebelków, typu stoliki, krzesła. To wszystko były tzw. złomy, ale szkoda było tego mieszkania. Ono było dobre i chyba bardzo porządni ludzie mieszkali wkoło, bo przez długi czas oni musieli słyszeć ten stuk maszyn i smród denaturatu, który rozchodził się po klatce schodowej, ale nikt na nas nie doniósł. Kiedyś, godzina trzecia, może czwarta rano, strasznie gorąco w tym mieszkaniu, bo przy zamkniętych, pozastłanianych oknach, usłyszeliśmy ciche, lekkie pukanie do drzwi. Oczywiście się przestraszyliśmy, spojrzeliśmy po sobie, już nikt nic nie wiedział, bo organizm mieliśmy zaatakowany denaturatem, i ja wtedy podszedłem do drzwi i je otworzyłem. Stała w nich kobieta w szlafroku i powiedziała: „Panowie,

bardzo przepraszam, troszkę ciszej, dziecko mam chore i nie może zasnąć”. „Dobrze, proszę pani”, odpowiedziałem. I wtedy myśmy przestali to robić, położyliśmy się spać, gdzie tak naprawdę należało jak najszybciej się spakować, ratować powielacz i to, co zostało wydrukowane. Ale myśmy już chyba wtedy nie myśleli, bo spędziliśmy kilkadziesiąt godzin w pomieszczeniu bez wietrzenia, w oparach denaturatu. Denaturat był na filcu, poza tym on nie sechł na papierze, mokre papiery były porozkładane do wyschnięcia. Właściwie myśmy się już pocili na niebiesko. Ale myślę, że równie źle było domywać ręce z farby drukarskiej, bo to też było niełatwo, jeżeli nie miało się żadnych rozpuszczalników. Każda z tych metod niosła za sobą pewne utrudnienia.

Data i miejsce nagrania	2005-10-04, Łańcut
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Anna Paziuk, Piotr Krotofil
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”